№ 15 (346) WARSZAWA 1 października 1925 R. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem ROK XVIII



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO ZWIĄZKU P.K.O. 8082 ADRES: NOWY-SWIAT Nr 35. TELEFON 7-98

Wychodzi 2 razy miesięcznie: 1-go i 15-go.

Nr. 18 (540) Warszawa, dn. 1 października 1925 r. Rok XVIII.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH
Wychodzi dwa razy miesięcznie: 1-go i 15-go.

PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł, kwartalna — 6 zł. Numer pojedynczy — 1 zł. 20 gr.
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona — 80 zł., pół — 50, ćwierć — 30, 1/8 — 16, 1/16 — 10. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej

OD REDAKCJI

Sz. P. Prenumeratorów informujemy, że prenumerata kwartalna liczy się jedynie od 1 stycznia, 1 kwietnia, 1 lipca i 1 października. Numery odbierane w międzyczasie tych okresów liczą się za pojedyncze.

Zaznaczamy również, że żadna redakcja nie posyła zgóry rachunku za jedną prenumeratę. Tymczasem nieraz żąda tego od nas nietylko prywatny prenumerator, lecz nawet księgarnia zamawiająca jeden egzemplarz.

Cena prenumeraty podawana jest w każdym numerze, Sz. P. Prenumeratorzy mogą zatem sami obliczyć ile są winni.

O ile zaś kto wpłaca za dużo, to buchalterja „Łowca Polskiego" zalicza nadwyżkę na rok następny.



Walka łosi.

Z Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Posiedzenie Wydziału Wykonawczego w dn. 12 września r. b.

Przewodniczył p. J. hr. Bielski.

Sprawozdanie biurowe i kasowe przedstawił sekretarz, p. Z. Wysocki, które razem z protokółem przyjął Wydział do wiadomości bez zastrzeżeń.

Przyjęcie do Centr. Zw. Oficerskiej Sekcji Myśliwskiej przy Wojskowym Klubie Sportowym w Zamościu odłożono do czasu otrzymania odpisu zalegalizowanego statutu Sekcji.

Panu Jerzemu Nałęcz - Dylewskiemu odpowiedziano, że uzupełnienie paroma sposobami już tylu środków tępienia lisa, nie jest groźnem niebezpieczeństwem, a przeto p. Dylewski może pracę swą o lisie w całości drukować.

W sprawie robienia trudności przy przyjmowaniu na bagaż zabitego kozła, o czem zawiadomił Wydział p. K. Świderski, postanowiono dać wyjaśnienie na łamach „Łowca Polskiego", jednocześnie zwrócić się do Minist. Kolei z prośbą o powiadomienie Radomskiej Dyrekcji Kolei, w której obrębie fakt ten się zdarzył, że stosownie do przepisów należy w takich wypadkach postępować.

W sprawie referenta łowieckiego przy Min. Rolnictwa i D. P. odpowiedziano Wielkopolskiemu Zw. Myśliwych, że Wydział nie widzi możności i podstaw do ingerencji w sprawach wewnętrznych Ministerstwa, do jakich należy przyjmowanie i zwalnianie urzędników państwowych.

Wyjaśniono Kujawskiemu Tow. Racj. Łowiectwa, że do czasu wejścia w życie ustawy łowieckiej, w której specjalny dział przewiduje środki zwalczania nielegalnych sposobów handlu zwierzyną, Wydział Wykonawczy nie może narzucać władzom specjalnych ograniczeń w tej mierze.

Przyjęto do wiadomości sprawozdanie Płockiego Tow. Racj. Pol. i Kujawskiego Tow. Racjonalnego Łowiectwa. Streszczenia tych sprawozdań ukażą się w „Łowcu Polskim".

Wyznaczono nadzwyczajne zebranie zarządu Cetr. Zw. razem z delegatami Tow-stw, na drugą połowę listopada r. b.

Przyjęto do wiadomości likwidację Białostockiego Tow. Myśliwskiego.

Na skutek debatów w sprawie opłat na rzecz Centr. Zw. od Towarzystw Myśliwskich uznano, że 5 proc. opłaty od składek są dla niektórych Towarzystw za uciążliwe, i zaprojektowano stałą stawkę roczną od poszczególnego członka danego T-wa.

Dla przedstawienia konkretnego wniosku w tej sprawie na zebranie listopadowe wyłoniono komisję, do której weszli pp.: Garczyński, Lilpop i Sztolcman.

Wydział postanowił, ażeby z przewyżek dochodów nad rozchodami po poczynieniu niezbędnych rezerw, przeznaczyć trzy nagrody dla najgorliwszych strażników łowieckich Tow. Centr. Zw. nagrodę na próby polowe psów myśliwskich, oraz nagrodę na projektowaną wystawę parostków sarnich.

Jednocześnie postanowiono wydrukować sprawozdanie Centr. Zw. od powstania do dnia 1-go października r. b.

JAN SZTOLCMAN.

Z FRANCJI.

Montrésor (Indre et Loire), w czerwcu.

(Zob. № 14).

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć kilku ciekawszych wydarzeń z naszych polowań na dziki w Montresorze. Pewnego razu mieliśmy otropione w jednym i tym samym miocie dwie pojedyncze sztuki: bardzo grubego odyńca i drugą sztukę mniejszą — prawdopodobnie sporego wycinka. Miot, w którym się dziki znajdowały, miał

MAURYCY HR. POTOCKI.

Wspomnienia z toków wiosennych.

(Zob. № 14).

Rozstawiam swój arsenał, gdyż ze sztucerami się nie rozstaję i czekam. Pierwszy strzał jedynie do „ptaka".

Prawie ciemno jest jeszcze zupełnie, gdy dają się słyszeć pierwsze cietrzewie, donośnem szykaniem dzień budząc. Jednocześnie rozróżniam dziwny głos, dotychczas na toku nigdy nie słyszany: zaiste jakiś skrzekot, chwilami podobny do głosu cyraniącza *). Czekam z niecierpliwością świtu, by móc obejrzeć pole. Nie mam, niestety, lornetki, którą zeszłej jesieni unieśli bandyci podczas swej krwawej w Józefinie wizyty, więc posługuję się świetną Zeissowską lunetą od manlichera. Szaro jest jeszcze na świecie, gdy na „mołczankę" milkną koguty. Blisko niema żadnego, więc zaczynam lustrować okolicę. O paręset kroków odemnie, na stoku pagórka wyraźnie się coś czerni, nastawiam lunetę. Z podniesioną głową, z napół opuszczonym ogonem, nieruchomo stoi ptak czarny. Wielkość jego wydaje mi się mało różnić od głuszca, jednak o wiele ciemniejszy. Opodal kilka zamarłych cietrzewi, punkcikami czarnymi przy nim się znaczą. Czyżby to był głuszec na toku? Jednak pomimo odległości widać w tym ptaku między głuszcem różnicę. Tymczasem ptak „robi szabas" razem z cietrzewiami, które na pierwszy brzask wschodzącego słońca czekają. A coraz jaskrawsze światło nadejście tego zwiastuje. Krótkie szyknięcia, łopot skrzydeł, coraz to mocniejsze bulgotanie oznajmia iż turniej koguci się rozpoczął. Cietrzewie grają daleko odemnie, szukam oczyma interesujący mnie objekt. Tajemniczy kogut grał o jakie 200 kroków odemnie. Z łatwością go odnalazłem, kierując wzrok ku miejscu, skąd było słychać dziwny jego śpiew. Głowę miał podniesioną do góry, ogon nastawiony pod kątem prostym do tułowia i roztoczony. Postawą i ruchami przypominał indyka. Podbiegał, przystawał, zataczał kręgi. Przy zawrotach nachylał ogon bokiem, ku stronie, w którą zawracał, ostatniem piórem dotykając ziemi. Nagle pochylił głowę, wyciągnął szyję, i zawrotnym pędem, rzucił się ku grupce grających cietrzewi. Koguty prysły we wszystkie strony a skrzekot, gdyż niewątpliwie miałem przed o[illegible] ma okaz tego ciekawego ptaka — popędził za najbliższym. Cietrzew zmiatał co sił, lecz bieg napastnika był o tyle szybszy, że w mgnieniu oka przestrzeń dzieląca ptaki znikła i cietrzew zerwał się do lotu. Skrzekot momentalnie się zatrzymał i, przy akompaniamencie swej pieśni rozpoczął ponownie swój indyczy taniec.

Zauważyłem, że kury cietrzewie nie darzyły intruza zbytniem zaufaniem, choć ten ostatni czynił, co mógł, by im się przypodobać. Zoczywszy szarą cieciorkę, pomału się do niej przybliżał i na modłę cietrzewią zataczał dookoła niej coraz mniejsze kręgi. Przy tej czynności namiętnie skrzekotał, roztaczał

*) Kaczor cyranki.

formę trójkąta opartego ostrym kątem o gwiazdę (le carrefour), z dwoma bokami kilometrowej długości zajętymi przez dość szerokie linje, gdy trzeci przylegał do pola. Prawie wszyscy myśliwi rozciągnęli się na jednej z dwu linji od strony tropów wchodowych, mnie zaś hr. Branicki posłał na przeciwległą linję, gdzie w pobliżu pola, w niewielkiem zagłębieniu gruntu znajdował się przesmyk, którym dziki lubiły się wynosić.

W miejscu tem wysokie wrzosy francuskie zasłaniały kompletnie widok na las, leżący za nimi. Znalazłem jednak lukę, skąd mogłem przejrzeć przez kilkudziesięcio-letnią drągowinę dębową w promieniu 80 do 100 kroków. Zająłem więc to stanowisko i czekałem cierpliwie dalszego biegu wypadków. Jakoś wkrótce usłyszałem zławianie się psów, następnie rozpaczliwe ujadania, znamionujące ruszenia zwierza na oko i po chwili doszedł mnie głuchy odgłos dalekiego strzału. W przekonaniu, że dziki wyszły przeciwległą linją, puściłem się kłusem, aby w porę zdążyć do gwiazdy, gdzie czekał na nas break, gdy naraz wyłonił mi się na linji jeden z myśliwych, który stale towarzyszył konno polowaniom naszym. Machał on gwałtownie ręką, dając znaki, abym wrócił na miejsce; zawróciłem więc i równie szybko wróciłem na moje stanowisko, jakem się od niego oddalił. Lecz ledwiem zajął moją dawną pozycję, gdy minął mi w drągowinie dzik, który sadził potężnymi susami, kierując się skośnie do linji. Gdy był naprzeciwko mnie, rzuciłem sztucer do ramienia, lecz w tej chwili dzik skręcił i skierował się wprost na mnie. „Ranlony... szarżuje"... przemknęło mi w myśli, lecz jednocześnie zmiarkowałem momentalnie, że strzelając go na sztych, łatwo spudłować mogę; wytrzymałem więc do ostatniej chwili i gdy się już dzik odsadzał, aby rowczak przesadzić, no... i mnie wywrócić, uskoczyłem wprawo i błyskawicznie zwróciłem się na lewo, aby wypalić z odległości literalnie jednego metra. W strzale widziałem, jak się dzik ugiął zlekka na zadnich nogach, lecz wnet poprawił się i skręciwszy nieco ku swej lewej stronie, dawał nowego susa, gdy moja druga kula na komorę przecięła momentalnie nić jego żywota.

Strzelałem ze szpringerowskiej biuksy, prawa lufa ekspres cal. 500, kula ekspanzywna, lewa — gładka cal. 16 kula pełna. Zdawałoby się, że kula ekspresowa, strzelona z odległości metra w krzyże ponad miednicą powinna była dzika unieruchomić. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy egzaminując moje strzały, znalazłem na krzyżach skórę rozszarpaną na powierzchni, równającej się męskiej dłoni, a na tej obnażonej ranie liczne maleńkie dziurki: kula ekspandowała na kości krzyżowej i gdyby nie druga moja kula komorowa, dzik niewątpliwie uszedłby i wylizał ze swej powierzchownej rany. Od tego zdarzenia zaprzestałem używania kul ekspanzywnych.

Sztuka ta okazała się duża jak na francuskiego dzika, maciorą; słusznie więc zadawałem sobie pytanie, czy locha ta szarżowała na mnie, czy też obrała sobie ten kierunek, bo jej droga tamtędy wypadała? I doszedłem do przekonania, że był to formalny atak, raz dlatego, że dzik zmienił kierunek, spostrzegłszy widocznie mój ruch, gdym strzelbę rzucił do ramienia, a powtóre — że dzik widzi dobrze przed sobą, gdyż inaczej na każdym kroku wpadałby łbem na drzewa, więc i moją sylwetkę widzieć musiał w luce między wrzosami.

Na zakończenie tej historji dodam, że maciora ta przyszła do mnie niestrzelana, gdyż słyszany przezemnie strzał dano do grubego odyńca, który wyszedł przeciwległą linją. Był to jeden z największych dzików, zabitych przy mnie we Francji, ważył bowiem blisko 150 kilo.

Innym znów razem polował z nami ś.p. Jan hr. Sierakowski. Postawiono go na niewielkiej halawce wśród wysokich wrzosów zasłaniających widok na najbliższe przedmioty. Goniony przez psy pojedynek wypadł na halawkę w odległości jakich 15 kroków od myśliwego. Ten strzelił z prawki i chybił, a gdy dzik rozjuszony strzałem sunął na niego, poprawił z lewki, ale już z odległości paru kroków. Śmiertelnie rażony dzik wywrócił myśliwego, przy-

---

jaknajszerzej wachlarz ogona, pęczniał z dumy, czy też chęci spodobania się. Lecz kura patrzała na niego lękliwie i widać było, że chce się uwolnić od natrętnych zalotów. Jakoż niebawem coraz to szybciej zaczynała uciekać, a niefortunny adorator podążał za nią, dopóki mu się nie skryła, lub grający cietrzew nie nawinął się po drodze, którego niezwłocznie atakował.

Całe to widowisko odbywało się na placu, odległym odemnie o jakie 150 — 200 kroków, słońce już jasno świeciło, gdy jeszcze obserwowałem ten rzadki okaz naszej fauny.

Ponieważ skrzekot ciągle przebiegał z miejsca na miejsce, przybliżając się, to oddalając od mej budki, trafiła się sytuacja taka, że pomiędzy mną, a nim znalazły się dwa, bijące się koguty cietrzewie. Rzucił się ku nim, i ku wielkiej mojej radości jeden z nich począł umykać ku mej budce.

Chwyciłem dubeltówkę. Dopędzony cietrzew zerwał się i przeleciał tuż koło mnie. Pierwszy raz tego ranka skrzekot uczynił to samo i nim zdołałem się zorjentować w jego locie, siadł o cztery kroki od mej budki. Wtedy dokładnie ujrzałem wszystkie różnice upierzenia i wielkości i nabrałem niezbitej pewności, z kim mam do czynienia.

Bojąc się rozbić tak cenny okaz, bliskim śrótowym strzałem, ostrożnie sięgnąłem po Browning, dzięki temu straciłem tak cenne w myśliwskim rozkładzie trofeum. Skrzekot przebiegłszy parę kroków, ponownie się zerwał i powrócił na swe poprzednie tokowisko. Niebawem widzę, jak asystując jakiejś cieciorce, zaczyna się przybliżać ku zagajnikowi, gdzie się kryje budka Komorowskiego.

Kura szybko w owym kierunku rejteruje i niebawem para niknie mi z oczu między sosenkami. Przyznam, że nie bez żalu żegnam się z jedyną może w życiu okazją. Czekam na strzał towarzysza, skrzekot musi już teraz być blisko jego budki. Pada ten strzał niebawem, rozchodząc się głośnem echem wśród ciszy mroźnego poranku. Kilkanaście sztuk cietrzewi zrywa się z zagajnika, leci wprost ku mnie i z łopotem zapada tuż przy mojej budce, odrazu zaczynając zapamiętale bulgotać.

Skrzekota już nigdzie nie słychać.

Zaczynam strzelać z Browninga. Po paru strzałach tok się przenosi na środek pola. Daję kilka dalekich strzałów z Manlichera (do 190 kroków), ogółem podnosząc 8 cietrzewi. Jednego, którego strzelałem siedzącego na sztych na brzozie, widocznie zeskrzydliłem, gdyż go znaleźć nie mogłem.

Podchodzę do Komorowskiego, który stoi nad zabitym skrzekotem i daje mi możność obejrzenia go tak, jak padł. Strzelał go na 24 kroki; mocny ptak tłukł się silnie po ziemi i podrywał kilka razy. Chciał nawet poprawić. Leży obecnie na piersiach z pięknie rozpostartemi skrzydłami. Mniejszy o wiele od głuszca, grzbiet, na jego podobiznę upierzony. W lotkach białe pióra cietrzewie, szyja fioletowa, łeb, dziób i korale nad oczami od cietrzewia, jeno wielkością się różnią. Skrzydła brunatne, ogon czarny bez białych plam, z dwoma ostatniemi z obu stron piórami z lekka w lirę zagiętemi.

(C. d n.).

walając mu nogi swem cielskiem i dzięki tylko szczęśliwemu trafowi nie zawadził szabla nawet ubrania, nie mówiąc już o ciele myśliwca.

Do najciekawszych jednak zdarzeń należy wypadek, jaki nam się przytrafił tu, w Montresorze, przed miesiącem. Zebrało nas się grono myśliwych, aby zapolować z gończymi na lisy, które w roku bieżącym rozmnożyły się niezwykle w tych stronach. Ponieważ jednak zachodziła możliwość spotkania się z dzikiem, więc też każdy z nas miał w kieszeni kule wielebenowskie, a nawet niektórzy uzbroili się w ładunki z loftkami, jak tego chce zwyczaj francuski. Brano niewielki miot, otoczony z trzech stron polami, a czwartym bokiem przymykający do głównego kompleksu lasu, od którego oddzielony był dość szeroka, ale w znacznej części kłodami zawalona linia. Gąszcz przed sobą mieliśmy zwarty, jako że polowaliśmy w maju kiedy już wszelkie drzewa i krzewy we Francji mają liście w pełni rozwinięte. Ja obie lufy nabiłem zajęczym śrótem w przewidywaniu spotkania z lisem, a nie z dzikiem.

Ledwie stanęliśmy na stanowiskach, gdy psy, puszczone z przeciwległej strony, zaczęły się zlawiać, a wkrótce ozwał się już równy gon, stale zbliżający się ku nam. Chwilami rozróżnić można było ujadanie na miejscu, jakby psy zwierza na oko goniły. Już ta okoliczność wydała mi się podejrzana, gdyż lis zmiata przed psami, nie pokazując im choćby na chwilę swej persony, alem jeszcze nie decydował się zmieniać ładunków. Dopiero, gdym spostrzegł, że sąsiad mój, niejaki p. d'Hausen zdradza swą postura wielkie zainteresowanie, a po chwili nawet w miot mierzy, zmiarkowałem, że w tym gąszczu, podszytym paprociami i wrzosami, nie jest on w stanie lisa ujrzeć, więc momentalnie zmieniłem ładunki, kładąc jeden kulowy, a drugi z loftkami. Ledwiem tego dokonał, gdy wymknął na linję i zniknął mi z drugiej strony niewielki dzik, mogący ważyć około 40 kilo. D'Hausen miał korzystniejszą pozycję od mojej i mógł strzelić 2 razy, gdy ja nawet z jednej lufy nie byłem w stanie wypalić. Wkrótce przeszły psy i całe polowanie utonęło w rozległym mlocie „Le Coudray". Czas jakiś było słychać gon, poczem usłyszeliśmy dwa strzały, a następnie w kilka minut jeszcze jeden i wszystko ucichło.

Okazało się że ten niewielki dziczek, przyszły pojedynek, oberwał parę loftek d'Hausen'a, z których jedna trafiła go w najczulsze miejsce całego organizmu. To go wprawiło w taką pasję, że zatrzymał się i zaczął „faire la tete au chiens". Psy, obawiając się go, trzymały się nieco na uboczu, ujadały jednak ciągle. Pośpieszył na to dojeżdżacz, Chauvau i nie widząc dobrze w gęstych wrzosach, wlazł prawie na dzika. Ten się rzucił na myśliwego, który z pierwszej lufy chybił i dzik zawrócił na miejscu i uderzył myśliwego ztyłu, wywracając go „do góry nogami" w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Chauvau, padając ściągnął mimowolnie za cyngiel, nadł strzał i nabój loftek ustrzelił biednemu chłopcu 2 palce lewej nogi: mały i drugi doń przylegający. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że tenże Chauvau miał przed kilku laty analogiczny wypadek w tymże samym lesie „Le Coudray" z tą jedynie różnicą, że wówczas broń była nabita kulą, od której niefortunny strzelec dostał obcierkę po wielkim palcu nogi.

(Dok. nast.)

AL. MARGR. WIELOPOLSKI.

Pogadanki o myślistwie, łowiectwie i polowaniu.

(Zob. Nr. 14.). (Dokończenie.).

Jako objekt polowania dzik jest zwierzyną bardzo wdzięczną. Zwyczajem swoim zalega przeważnie za widoku w gąszczach, zatem polowanie na dziki na podjazd, podchód, czy na wychodnego rzadziej bywa uwieńczone powodzeniem, i innych zazwyczaj się na dziki używa sposobów. Bez śniegu trudno dzikom „co zrobić", to też właściwą chwilą polowania na nie jest ponowa. Wtedy duże są szanse dojścia do strzału do otropionej sztuki, bądź dla pojedyńczego myśliwego, bądź też przy urządzaniu naganki w razie większej ilości myśliwych i zwierzyny. Mając niedużego pieska, przed którym dziki nie uchodzą daleko, tem łatwiej dojść do strzału, ale najpiękniejszem polowaniem na dziki jest polowanie ze zgrają psów, z których jedne go tropią, a inne, często rekrutowane z kundli wiejskich, czepiają go się jak pijawki i stanowią. Zamiłowani do tego polowania myśliwi częstokroć nie uciekają się do broni palnej, lecz kłują kordelasem duże nawet sztuki, gdy psy je dobrze i mocno trzymają. Najwspanialsze łowy na dziki odbywały się dawniej w Ordynacji Dawidgródeckiej: ostęp otoczony „czertą" blisko tysiąca ludzi trwał kilka godzin (rzadko brano więcej niż jeden ostęp na dzień), ludzie do „czerty" schodzili się od świtu z sankami, palili ognie i tworzyli krąg, z którego się mało zdołało wymknąć zwierzyny. Z chwilą gdy myśliwi zajęli stanowiska, pobereżnicy puszczali kilka lub kilkanaście sfor psów, które wyprowadzały dziki na cięciwę, na której stali myśliwi. Ale takie „królewskie" łowy należą do przeszłości i mało jest nadziei, by znowu powstały. Tak zorganizowane i przygotowane polowania na dziki można było na określoną z góry zapowiedzieć datę, i o ile nieprzewidziane okoliczności atmosferyczne, a głównie przedwczesne roztopy nie stawały na przeszkodzie, polowanie takie udać się musiało. W przeciętnych jednak warunkach w kraju naszym przy tak zmiennym klimacie, a także wobec nie tak bardzo wielkiej ilości dzików w poszczególnych ostojach, trzeba wypatrywać chwilę i jaknajśpieszniej ją wykorzystać, bo nawet z pewnym ryzykiem może być połączone wyczekiwanie telegraficznie wezwanego gościa. Każdy zwierz ranony, nawet bekas „szarżuje", dzik zatem postrzelony może być niebezpieczny. Jednakże przy dzisiejszej broni, zabójczej z jednej strony, z drugiej zaś dającej możność szybkiego nabijania, przysłowie „na niedźwiedzia łoże, na dzika mary" traci na aktualności.

Wilki i lisy: Specjalne polowania na oba te drapieżniki mają tę wspólną cechę, że z chwilą, gdy je mamy w danem miejscu możemy przy pomocy sznurów (łap) zwierza w nim utrzymać do przybycia myśliwych. Z umiejętności urządzania obławy na wilki słynęli „Pskowicze", znam ich tylko z opowiadań. Pskowicz nawet w ostoi zupełnie sobie nieznanej umiał zwierza wyprowadzić nie tylko na linję myśliwych, ale prawie na wskazane stanowisko. System ich zdaje się i obecnie jest używany, ale polowanie na wilki jest specjalnością, o której mam pojęcie tylko z opowiadań, a zatem rozwodzić się nad tem polowaniem nie mam możności. Lisy kopiemy z jamnikami i strzelamy w nagankach lub polowaniach na inną zwierzynę; łatwo też lisa przy umiejętności zwabić na pisk myszy lub kniaz. zająca. Na ponowie otropiony, otoczony sznurami lis dość pewnie wychodzi na strzał i przez to stanowi miłe urozmaicenie pobytu myśliwego na wsi w zimową porę.

Polowania na „Różne": Jeżeli czytelnik wyniesie z tych pogadanek wrażenie, że poniekąd chcę ograniczyć prawa właściciela, względnie gospodarza ostoi, nie będzie w błędzie. Starałem się dowieść, że warunkiem nieodzownym, żeby mieć jakąkolwiek zwierzynę, a co zatem idzie polowanie jest spokój. Jeżeli właściciel pola czy kniei nie pozwoli nikomu polować w swej ostoi, ale będzie stale sam zwierzynę niepokoił, skutek będzie jednaki, jakby to czynili niepowołani sąsiedzi czy kłusownicy.

Jeżeli jego żyłka myśliwska nie pozwala mu usiedzieć w domu, jeśli nie jest w stanie pohamować swych zapędów i z lornetką upatrywać jelenia czy kozła, którego dla siebie lub przyjaciela przeznacza, mało będzie miał danych, żeby polowania, na które zaprosi gości, się udały. Ale w każdej porze roku namiętny myśliwy — strzelec ma sposobność polowania bez szkody dla kulturalnego zwierzostanu, lub nawet z pożytkiem dla niego, a zatem odstrzał jelonków i łań i łaniek, wadliwych kozłów i kóz, nie tak łatwe, dużo zając może czasu. Jak wyżej była mowa dziki i lisy nie jeden dzień zimowy zapełnić mogą. Ciąg słonek i kaczorów, toki głuszców i cietrzewi na wiosnę, kaczki i bekasy zanim się doczekamy kuropatw. Wabienie jarząbków jesienną porą. Jastrzebie i wrony w budce z puhaczem, kopanie lisów i borsuków, podchód na czaple lub zasadka na kuny, naganeczki na króliki a może i inne „polowanka" służą i na pożytek zwierzostanu i na to, żeby hamujący się myśliwy, w nadziei dobrego polowania we właściwej chwili, miał możność zaspokojenia swej żyłki myśliwskiej, a niekoniecznie codziennie musiał niepokoić zające, sarny i kuropatwy. Ale jak już raz powiedziałem „Wolnoć Tomku w swoim domku" — tylko nie należy się potem dziwić, że rabunkowa gospodarka w myślistwie nie pozwala zwierzostanom się rozmnożyć, a naodwrót tępi je i powoduje zwyrodnienie zwierzyny, i nie należy zazdrościć sąsiadowi jeżeli dbały jako hodowca i wstrzemięźliwy jako myśliwy, może się o wiele lepszemi nacieszyć i pochwalić wynikami swych zachodów i starań.

STRZAŁOWE:

Za drapieżne i szkodniki ubite przez straż własnemi nabojami: Jastrząb 2 naboje, sowa 2 naboje, sójka 2 naboje, wrona 2 naboje, kruk 2 naboje, sroka 2 naboje, lis 8 naboi, pies i kot 2 naboje, kuna, tchórz, łaska 2 naboje, królik 2 naboje.

Za zwierzynę pożyteczną ubitą przez straż własnemi nabojami: zając 2 naboje, kuropatwa 2 naboje, dzik 8 naboi, sarna 8 naboi.

Premia za polowanie: za zwierzynę zabitą przez gospodarza i gości: kozioł 8 naboi, zając 1 nabój, kuropatwa 1 nabój, bażant 1 nabój, słomka 1 nabój, dzik 8 naboi.

Za odebranie strzelby i pojmanie kłusownika premja według okoliczności, po rozprawie sądowej, za sidła i wnyki, premja według okoliczności do uznania zwierzchników.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

O zwierzyńcach i zwierzyńcu w Poznaniu.

(Zob. Nr. 14.)

Dokończenie.

Przebrzmiały echa dawnej królewskiej sławy polskiej. Po dniach blasku i słońca rozsnuły się ciężkie dni smutku i dźwigania krzyża, aż wreszcie w XX wieku skończyliśmy drogę pełną kolców i Polska znów zajaśniała w blasku potęgi. Inne czasy, inni ludzie, inny też wygląd ziemi ojczystej. Z dawnych zwierzyńców polskich pozostały tylko wspomnienia i szukać ich należy już tylko na kartach historji. Pozostał nam dziś tylko jeden jedyny ogród zoologiczny w Poznaniu, który cieszyć się winien ojcowską opieką całego narodu, a o istnieniu którego winno wiedzieć każde dziecko polskie.

Ogród ten powstał w roku 1871 na miejscu t. zw. starogardzkiego dworca kolejowego, założony zgodnemi siłami Niemców i Polaków. W roku 1911, miasto Poznań przyjęło ten ogród na swoją własność i otoczyło troskliwą opieką. Do najbardziej zasłużonych na polu organizacji tego ogrodu — zwierzyńca należeli polski nauczyciel Zieliński i niemiecki kupiec Jaekel. Zieliński po dziś dzień jest członkiem Zarządu Zwierzyńca. Po upadku Hohenzollernów, a wskrzeszeniu Polski, ustąpili Niemcy demonstracyjnie z Zarządu, a cały ciężar utrzymania przy życiu tej istytucji spadł na ramiona Polaków, i to w momencie krytycznym, bo w czasie jej upadku. Bowiem z wybuchem wojny ogród ten liczył 900 okazów w 400 gatunkach, zaś w roku 1919, objęliśmy po Niemcach zaledwie 245 zwierząt w 75 gatunkach. Wojna, a z nią idący głód, choroby i brak opieki poczyniły spustoszenia w klatkach. Jednak zarząd polski przy poparciu miasta Poznania wziął się skutecznie do pracy. Przebrzmiały dni trwogi i, zdawało się, beznadziejnej troski o ratunek Ogrodu. Społeczeństwo zrozumiało wartość i znaczenie tej jedynej instytucji w Polsce, popłynęły datki w pieniądzach i naturaljach i Ogród uratowano. Jednak sytuacja finansowa tej instytucji jest nadal ciężka. Robocizna w ogrodzie i żywienie zwierząt — tworzą największą rubrykę rozchodów — a przecież prócz tego trzeba nabywać nowe okazy; nie wolno stać na miejscu, trzeba iść naprzód, rozwijać się. Z informacyj, których mi uprzejmie udzielił p. Kazimierz Szczerkowski, człowiek niezmordowanej pracy a dyrektor ogrodu, dowiadujemy się, że ogród posiada dziś już około 600 sztuk zwierząt w przeszło 200 gatunkach ze wszystkich części świata. Wymienię tu tylko takie, jak dwa stare żubry z cielakiem, które nabyto z wielkim trudem za 12.500 zł. od p. von Beyme'go z Scharbów w Meklemburgji, bawół (dar braci Szyllerów z Poznania), bizon amerykański, zebu, słoń indyjski, tapir, kangury, jeleń Wapiti, zebra, 2 wielbłądy dwugarbne (dar p. Prezydenta Rzeczypospolitej St. Wojciechowskiego), wielbłąd jednogarbny, niedźwiedzie, antylopy, lew, hjena, lampart, lama, gnu, jakoteż wszystkie okazy polskiej fauny,—pozatem bogata małpiarnia, woljera dla sępów i orłów, dwa stawy z różnem ptactwem wodnem, ptaszarnia, pawilon dla gryzoni i małych drapieżców, pawilon dla strusi i t. p.

Pozwolę tu sobie popełnić małą niedyskrecję i przytoczyć dosłownie jeden ustęp z listu p. Szczerkowskiego: „Latoś budujemy wielką woljerę dla ptaków brodzących i t. p., a w przyszłym roku zamierzamy wybudować nowoczesne akwarjum i terrarjum, o ile doznamy nadal życzliwego poparcia finansowego ze strony spłeczeństwa polskiego. Jak każda inna instytucja społeczno-naukowa, tak i my walczymy ustawicznie z trudnościami pieniężnemi. Gdyby nas cała Polska, a mianowicie rząd, instytucje handlowe i przemysłowe, zamożni obywatele i t. p. finansowo, a świat naukowy intelektualnie wspierał — toby **Ogród Zoologiczny w Poznaniu nabrał sławy europejskiej".**

Honor trzydziestomiljonowego państwa wymaga, aby Ogród Zoologiczny w Poznaniu cieszył się rozgłosem i sławą europejską.

Dochody swe czerpie Ogród z wstępnego, z dobrowolnych darów w pieniądzach i naturaljach i z subwencji. Źródło jednak tych dochodów nie jest bogate ani obfite. Oto w pierwszym polskim „Przewodniku po Ogrodzie Zoologicznym w Poznaniu" z r. 1924 czytamy dosłownie następujące, a wszystko mówiące słowa:

„Po prawej stronie za jeleniarnią stoi domek z basenem dla Lwów morskich (Zalophus californicus). Ponieważ jednak zwierzęta te żywią się tylko rybami morskiemi, a potrzebują dziennie do 7 kilogramów pokarmu, ze względów oszczędnościowych nie nabyto ich dotąd".

Przyznając się otwarcie, że jako członek trzy-

dziestomilionowego narodu, z pewnem upokorzeniem powyższy cytat tu przytaczam.

Nie wątpię, że każdemu prawemu Polakowi zależy na tem, aby jedyny polski ogród zoologiczny dosięgnął sławy europejskiej. Nieśmy więc wspólnie pomoc tej placówce, która winna być chlubą naszą.

Naczelne miejsce winien tu zająć rząd polski ze stałą subwencja. Exempla trahunt! tembardziej o ile idą zgóry. Następnie winno pośpieszyć z pomocą całe społeczeństwo, głównie Rady Miejskie, opodatkowując się na stałe choćby drobną kwotą — w tem przeświadczeniu, że „ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka", a o brak tej miarki rozbijają się właśnie najlepsze zamierzenia Zarządu Ogrodu. Towarzystwa akcyjne, handlowe i przemysłowe, rozdzielając po dokonaniu bilansów zapomogi instytucjom społecznym, niechaj pamiętają że w tym samym szeregu potrzebujących, stoi też nasz zwierzyniec poznański. W wielkiej mierze mogą przyczynić się do rozwoju ogrodu ziemianie, nadsyłając dary w naturze jak siano, słoma, rośliny okopowe, wybrakowane konie i t. p.

Leśnicy zaś i myśliwi niechaj nadsyłaja żywe okazy krajowej fauny.

Każdy obywatel, choćby tylko przejeżdżał przez Poznań, winien się tu zatrzymać i zwiedzić ogród. W r. 1924 zwiedziło tę kulturalną placówke sto siedmdziesiąt tysięcy osób płatnie i liczne wycieczki dzieci i żołnierzy bezpłatnie. Wycieczkom szkolnym winien rząd udzielać ulg kolejowych. Nie wątpimy też, że i nasza armia jak dotąd zawsze ofiarna w sprawach narodowych i społecznych — poprze i teraz moralnie i materjalnie intencje Zarządu.

Przy każdej okazji i sposobności pamiętajmy o jedynym polskim zwierzyńcu, pamiętajmy o nim ale wszyscy, a wtedy stanie on na wysokości godnej wielkiego Narodu.

Przemyśl, w sierpniu 1925 r.

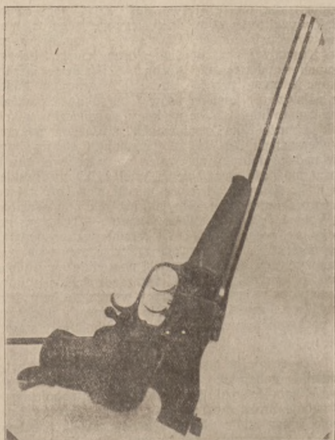
STEFAN LEWICKI.

O broni tarczowej i sporcie strzeleckim słów parę.

(Zob. Nr. 13).
(Dokończenie.).

Nie mogę jednak pominąć i pewnych wad, jakie sztucer ten mojem zdaniem posiada. Do najważniejszej, i zdaje się bardzo istotnej, zaliczam brak odpowiedniego urządzenia zarówno przy celowniku jak i djoptrze, któreby pozwalało utrwalać wymaganą korrekcję jednego i drugiego w zależności od odległości, wiatru, a wreszcie indywidualnych właściwości zarówno sztucera jak i strzelca. W tym celu potrzebną by była odpowiednio urządzona skala ze wskaźnikiem przy każdym z powyższych przyrządów, cechy której przy strzelaniu z broni w różnych warunkach można by sobie ustalić, i w potrzebnym momencie odtworzyć przez odpowiednie ustawienie. Następnie uważałbym za wskazane, żeby sztucer ten posiadał przyśpiesznik. Do mniejszych wad tego sztuceru, mianowicie o charakterze bardziej subjektywnym, wymienię brak kapy typu tarczowego, która jednakże aby była celową, winna również być ruchoma. Do tego kolba typu tarczowego. Co do wagi sztucera, to jest ona odpowiednią tylko do strzelania z wolnej ręki, natomiast przy strzelaniu w pasach jest za lekka.

Pominąwszy tych ostatnich uwag, sztucer ten można śmiało polecać wszystkim amatorom sportu strzeleckiego, z którego bezwzględnie można osiągnąć wysokie wyniki. Osobiście bym jednak bardzo pragnął zapoznać się z obiecanym mi zresztą przez p. Lisowskiego sztucerem, któryby odpowiadał wszystkim powyższym moim wymaganiom: chociaż, być może, trochę kapryśnym, — i oczywiście podzielić się swemi doświadczeniami z sz. kolegami.



Pistolet (p. załączoną fotografję).
Kal. 22 long rifle. Roboty J. Nowotny.
Cena około 200 zł.
Wymiary: długość ogólna — 39 cmtr.
„ lufy — 30.5 „
Średnica lufy w przekroju u wylotu — 13 mm.
Waga ogólna — 1.3 klg.

Najważniejsza częścią pistoletu tarczowego jest jego zamknięcie, które musi być tak skonstruowane, aby bez znaczniejszego wysiłku ze strony strzelającego przy systemie bezkurkowym mógł być nabijany, i równie łatwo wyrzucał łuski. Bardzo ciekawe urządzenie tego pistoletu całkowicie odpowiada tym wymaganiom. Mianowicie od mechanizmu zamkowego wzdłuż przez rękojeść ku dołowi przechodzi dźwignia, dobrze widziana na rysunku, przez bardzo lekkie jej naciśnięcie naciąga się sprężyna kurkowa, i jednocześnie cały zamek usuwa się trochę w głąb, ukazując kamerę lufową. Doprowadzając tę dźwignię z powrotem na miejsce, mamy pistolet nabity, zaś po strzale lekko uderzając wskazującym palcem na tę samą dźwignię, usuwa się z impetem łuskę. Cały zamek chociaż nie daje się wyjmować bez przyrządów, łatwo podlega oczyszczeniu i oliwieniu. Oprócz tego przy otworzonym zamku, wobec istnienia specjalnie przewierconego otworu w jego tylnej ślepej części, otrzymuje się jakby dalsze przedłużenie lufy, co bardzo ułatwia jej czyszczenie od kamery. Lufa kanciasta posiada bardzo ostre gwinty, i jest to jedna z przyczyn, dzięki której pistolet ten odznacza się ogromną penetracja przy długich kulach: z łatwością bowiem przebija 5 cmtr. dębowy bal, co należy mieć bardzo na uwadze przy strzelaniu z tej broni do celu w nieodpowiedniem miejscu. Rękojeść pi-

stoletu posiada specjalnie wyrobione ujęcie dla nadzwyczaj wygodnego trzymania w dłoni, zaś pod antabą cynglową jeszcze rodzaj otwartego pierścienia dla 3-go palca ręki. Muszki, podobnie jak i w sztucerze, dwie do natychmiastowej zmiany, z których szwajcarska, jako b. subtelna, jest lepszą dla dalszych odległości. Przyśpiesznik bardzo czuły, łatwo regulowany i działający bez zarzutu. Celownik jest umieszczony na samym tyle skrzynki zamkowej i za pomocą odpowiednich śrubek i kluczyka może być z łatwością przesuwany we wszystkich kierunkach. Rozrzut kul z tego pistoletu na odległość 35 mtr. przy strzelaniu ze śrubsztaka nie wychodzi poza krąg 6 cmtr. średnicy. Przy kulach krótkich (t. zw. short), wyniki są trochę słabsze.



Załączona na fotografji tarcza (7-mio pierścieniowa) przedstawia średni wynik moich 10 strzałów z wolnej ręki na 18 mtr. dla kul krótkich. Naogół pistolet ten zdaje się odpowiadać wszystkim wymaganym dla tego rodzaju broni warunkom; jedyna, mało istotną zresztą jego wadą natury czysto technicznej jest niezupełnie dokładne dopasowanie ekstraktora do lufy; wada ta jednak nie przynosi żadnego ujemnego wpływu na działanie tegoż ekstraktora. Natomiast bardzo znaczną wadą jest cena tego pistoletu, bądź co bądź dość wysoka.

Jeżeli mi wolno będzie uczynić jeszcze kilka uwag w sprawie broni tarczowej i potrzeb polskich amatorów strzelectwa pod tym względem, muszę zaapelować pod adresem naszych pp. rusznikarzy o najrychlejsze sprowadzenie nam broni dalekobijącej, a więc do strzelania konkursowego na 300, 500 i 800 mtr.

Broń taka winna odpowiadać dwum kardynalnym warunkom: a) dawać początkową szybkość polotu kul jaknajwyższą i b) posiadać niedrogie naboje. Możliwość skutecznego rozwiązania obydwu tych warunków może polegałaby na tem, żeby sztucery takie były dostosowane do kalibru naszych wojskowych Mauserów; sądzę bowiem, że nasze władze wojskowe nie zrobiłyby przeszkód do odstąpienia ze swych składów potrzebnej amunicji po cenie własnych kosztów, dla celów szlachetnych-sportowych, osobom zrzeszonym w bractwa strzeleckie, bądź w inne organizacje sportowo strzeleckie. Mam tylko pewne wątpliwości, czy ładunek Mauserowski wobec swej niezbyt dużej chyżości (zdaje się około 800 mtr. na 1 sek.), dałby nam równe szanse na decydujących konkursach wobec innych broni, z których osiągano bodaj do 1400 mtr. na 1 sek. W każdym bądź razie broń taka o ładunku mauserowskim dała by możność wszystkim polskim strzelcom ćwiczenia się i organizowania konkursów u siebie w kraju, co już by było b. dużo. Tymczasem gdy wiosna nastanie, to z nią możliwość korzystania z tego ostatniego sportu przynajmniej nam wszystkim zamieszkałym poza Warszawą, gdzie urządzenie strzelnicy dalekodystansowej nie przedstawia żadnej większej trudności; tylko że broni nie mamy. Sądzę pozatem, że należy poruszyć wszystkie możliwe sprężyny w celu jaknajrychlejszego urządzenia w Warszawie stadjonu strzeleckiego, chociażby w najprostszej postaci; najlepszym dowodem tej potrzeby jest ogromne powodzenie strzelnicy przy siedzibie naszej Centrali Łowieckiej w Warszawie, Nowy-Świat 35, aczkolwiek ta ostatnia nie zupełnie odpowiada istotnym wymaganiom dla strzelania małokalibrowego *). Z podobnego stadjonu urządzonego choćby dość prymitywnie, można byłoby korzystać od wiosny do jesieni; pozatem możliwem było by urządzanie tam strzelania myśliwskiego do gołębi i talerzyków, w którem to stolica nasza miała takie świetne tradycje przed wojną; osiągane stąd dochody niewątpliwie pozwolą na dalsze ulepszenia i rozbudowę. Jednem słowem do czynu i jeszcze raz do czynu, jeżeli nie chcemy nadal tkwić w ogonku pozawszystkiemi narodami w tym sporcie tak doniosłego znaczenia państwowego.

*) Nie mogę się wstrzymać, aby nie wyrazić swego żalu pod adresem Centrali Pol. Stow. Łowieckich, która by mogła zrzeszone w niej Towarzystwa każdorazowo w porę zawiadamiać o mających się odbywać konkursach w swej strzelnicy, gdyż zwykle na prowincji dowiadujemy się o tem post factum.

Puławy — Instytut, 23.1.1925 r.

PRZYPISEK REDAKCJI.

Strzelnica jest własnością i przedsiębiorstwem Polskiego T-wa Łowieckiego (nie Centr. Z. P. S. Ł.)

Stadjon ma być zbudowany na forcie Szczęśliwickim, kosztem miasta.

Przewiduje się tam strzelnice do celów stałych i ruchomych. Również „Tir aux pigeons" i talerzyki („Tontauben").

O konkursowych strzelaniach donosimy w Łowcu Polskim.

Co do małokalibrowych broni kal. 22 do bocznego ognia, musimy zauważyć, że niezależnie od karabinku i pistoletu Nowotnego, zalecanego przez autora, słynne są Automaty 10-cio strzałowe, „Browning" magazynowy 12 strzałowy karabinek (nowy) „Trembone" fabryki „F. N." i karabinek Mauzer'a 1-no i 5-cio strzałowy.

Bardzo precyzyjne są również karabinki Sauer'a „Tell".

Z pistoletów tarczowych, kal. 22, najsłynniejsze są amerykańskie Colt'a, z których strzelali zwycięzcy pierwszych nagród na Olimpiadzie w Paryżu. Pistolety te obecnie nazywają „olimpijskiemi".

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI.

Muła.

(Zob. Nr. 14).

Przejechaliśmy Soły, przeprawili promem przez Wilję i wkrótce wjechali w okolice, po której mieliśmy polować, a która równocześnie była miejscem, gdzie rozegrały się najważniejsze akty wojny światowej. Wszędzie okopy i zasieki z drutu kolczastego. Dziś tam pusto.

Miejscowa ludność wróciła na dawne miejsca; po wyciętych lasach puściły się młode zarośla, a cietrzewie, głuszce, pardwy, łosie i sarny znów zaczynają znajdować w nich dawny spokój i rosnąć w liczbę. Szkoda tylko, że lisy i wilki

doskonale czujące się w niemieckich i rosyjskich okopach, również rosną w liczbę i stają się poważnym ciężarem nietylko dla zwierzyny, ale nawet i dla miejscowej ludności.

Dwór p. Pietkiewiczowej, będący celem naszej podróży, do którego trafiliśmy, pobłąkawszy przedtem trochę po różnych nowych drogach, znajduje się w samem sercu dawnych pozycji nieprzyjacielskich. Z zamożnego i dużego majątku nie pozostało po wojnie literalnie nic. Należało odszukiwać granice i miejsca gdzie dawniej stały budynki.

Tu muszę kornie schylić czoło przed stalową energją i wytrwałością pani Pietkiewiczowej, użytą w celu odbudowania zniszczonego gniazda. Bez niczyjej pomocy, żyjąc początkowo w szałasie z chrustu w niesłychanych prywacjach, potrafiła ona wystawić dom mieszkalny, budynki gospodarcze, zasypać okopy i wznowić gospodarkę na całej przestrzeni uprawnej majątku. Spalił jej się dom, utonęły konie przy przeprawie przez Wilję, pokąsał ją wściekły pies, tysiące przeciwieństw i niepowodzeń spotkało tę kobietę i nic nie mogło złamać jej stalowej energji i przeszkodzić w dopięciu postawionego celu. Nic też nie było w stanie zmącić pogody jej ducha, zczerstwieć jej dobrego serca i napełnić go rozżaleniem i zniechęceniem tak naturalnem w podobnych warunkach. Sama na skraju wywołanej przez wojnę nędzy materjalnej umiała służyć pomocą i radą drugim i cieszy się miłością całej okolicznej ludności. „Jak się odbudowali ci ludzie?" zapytuję pani Pietkiewiczowej, widząc porządnie pobudowane wsie i sądząc, że stało się to przy jakiejś poważniejszej pomocy państwowej, w szczególności słynnych urzędów odbudowy. „Mój las poszedł na to", odpowiada z całym spokojem p. Pietkiewiczowa — nie miałam serca zabraniać ludziom ciąć lasu, gdy go potrzebowali istotnie na budowę schronisk dla siebie i swych dzieci. O urzędach odbudowy nic słyszeliśmy nigdy i dziś nie są nam one potrzebne. Przydałaby się nam w wielu wypadkach pomoc pieniężna, ale my tylko mamy do czynienia z władzami skarbowemi, które nam każą płacić podatek od gruntów, pokrytych od czasu wojny zaroślami brzozowemi, twierdząc, że według starych wykazów rosyjskich grunta te figurują jako orne. Pocieszyłem się myślą, że jak Rzeczpospolita długa i szeroka, „urzędowanie" odbywa się w ten sam sposób.

Niech mi w tem miejscu p. Pietkiewiczowa wybaczy, że tak niedyskretnie piszę o jej osobie i sprawach, ale tak się jakoś przyjęło w polskiej literaturze łowieckiej, że każdy opis polowań na pardwy i cietrzewie musi mieć swoją bohaterkę. A bohaterką Muły jest bezspornie ona. Była tam wprawdzie jeszcze jedna osóbka, która mimo skromnego przezwiska „Zabusi" doskonale się nadawała do odegrania roli Warszulki, czy raczej Reni, ale osóbka ta była w tak srogiem oblężeniu ze strony pewnego bardzo uprzejmego i sympatycznego majora, że o tem, aby nam, skromnym myśliwym, mogła udzielić trochę uwagi, nie było mowy. Zresztą bynajmniej nie myśleliśmy narażać się na walkę z majorem, tem bardziej, że odstrzał majorów nawet tych z przydomkiem „scolopax" *) nie był przewidywany w programie myśliwskim. To też nie przeszkadzaliśmy miłemu majorowi nieść jego krzyż, który będzie musiał dźwigać aż do ołtarza. O tem, żeby ten biedny człowiek mógł wziąć udział wspólnie z nami w polowaniu, w jego położeniu oczywiście nie mogło być mowy. To też w rezultacie polowaliśmy sami bez współudziału miejscowych „sił".

Polowanie nasze rozpoczęło się od niedalekiej wyprawy w pobliskie zarośla, gdzie miały być cietrzewie, dokąd udaliśmy się po sutym obiedzie. Cietrzewi w tych miejscach nie było, tylko Michałowskiemu udało się zabić jednego, i wyprawa ograniczyła się narazie do zwiedzania niemieckich okopów. Właściwa batalja miała się odbyć dopiero nazajutrz. To też rozejrzawszy się, że nic wielkiego nie zrobimy, wróciliśmy, by spożyć czemprędzej pożądaną w takich wypadkach kolację i iść spać.

Nazajutrz o 4-ej rano czekała na nas para koni, zaprzężonych do wózka, która miała nas zawieźć do oddalonych o 10 kilometrów Nowosiółek, miejsca, skąd miało się rozpocząć polowanie. Zjadłszy naprędce śniadanie, usadowiliśmy się — my i nasze psy — w wózku i ruszyli w drogę. Z za pleców wyglądał nam brodaty i wąsaty pysk usadowionej tam „Gertrudy" w codziennem użyciu używającej zdrobniałego imienia „Herta", dobrodusznej i poufałej, jak wszystkie niemki, suki dra Konecznego, usiłującej nas kokietować uśmiechami „pod wąsem". „Burek" nawet na wózku nie zapomniał o flircie z Nerką, ostro karconym przez jego pana ze względu na niewłaściwość miejsca. Po drodze, dając folgę wrodzonej antypatji, Michałowski strzelał ze swej „Lebeau" do wron, nieprawdopodobnie dalekiemi strzałami wysyłając w lepsze światy kilka członkiń „czarnej bandy".

Niebawem dojechaliśmy do Nowosiółek i po ugodzeniu trzech miejscowych włościan, którzy mieli odegrywać rolę przewodników, ruszyliśmy na mszary. Z początku szliśmy niezbyt gęstym brzeźniakiem, gdzie spotkaliśmy tylko kilka bezskutecznie na dalekie mety strzelanych cietrzewi. Wreszcie doszliśmy do miejsca, od którego rozpoczynał się „mech". „Mech" nie był podobny do tych, które opisywane są jako siedziba pardw. Żółto-rudy, pokryty rzadką karłowatą sośniną, „mech" był tym razem zupełnie suchy i chodzenie po nim bynajmniej nie było uciążliwem. Wielki tylko był bardzo, ciągnąc się gdzieś w nieskończoność.

(Dok. nast.).

*) Aluzja do dubelta, po łacinie **Scolopax major** (Przyp. Red.).

ROGI TURA (Bos primigenius).



Wykopano nad rzeką Mereczanka w puszczy Rudnickiej (Ziemi Wileńskiej). Własność wiceprezesa Wileńskiego Tow. Myśliwskiego d-ra Czesława Konecznego. Długość rogów około 50 cm., grubość w nasadzie około 31 cm.

W sprawie przewozu zwierzyny pociągami pasażerskimi, jako bagażu.

Zarząd Centralnego Związku Pol. Stow. Łowieckich otrzymał list następujący.

W dniu 3 wrześnie r. b. po ukończonem polowaniu w rewirach dóbr Stepan, pow. Rówieńskiego, przyjechaliśmy końmi do stacji kol. Niemowicze (linja Sarny — Równe dyr. Radomskiej) celem odbycia dalszej podróży koleją do Równego.

Jeden z myśliwych, p. F., pragnął nadać zabitego kozła na bagaż. Kierownik stacji Niemowicze odmówił przyjęcia przesyłki, ponieważ p. F. nie posiadał świadectwa weterynarza, stwierdzającego iż mięso upolowanego kozła jest zdatne do użytku. Po dłuższych dopiero ceregielach i zapewnieniach ze strony p. F., że wszelkie konsekwencje z tego tytułu bierze na swoją odpowiedzialność, zgodził się zawiadowca stacji przesyłkę do dalszej ekspedycji przyjąć. Kierownik stacji powoływał się na istniejące rozporządzenia dyrekcji Radomskiej, zabraniające przewozu zabitych sztuk bez właściwego świadectwa weterynarza.

P. F. twierdzi, że podobne trudności miał niejednokrotnie przy ekspedjowaniu zwierzyny i na innych okolicznych stacjach kolejowych.

Uprzejmie proszę zatem o wyjaśnienie, czy rzeczywiście podobne rozprządzenie, które wydaje mi się absurdalnem, istnieje i o łaskawe umieszczenie odpowiedzi na moje zapytanie na łamach „Łowca Polskiego".

Z poważaniem
K. Świderski.

PRZYPISEK REDAKCJI.

Mamy przed sobą „Urzędowy Rozkład Jazdy na kolejach państwowych za rok 1925-26", gdzie w rubryce: Wyciąg z przepisów przewozowych i taryfowych na str. 29 znajdujemy art. 30 o brzmieniu następującem: Następujące przedmioty mogą być przyjęte jako bagaż, o ile służą niewątpliwie do użytku osbistego nadawcy: „Zwierzęta świeżo ubite i przez polujących wiezione ze sobą, o ile krwawiące części są tak zasłonięte, że inny bagaż nie może być przez nie zanieczyszczony.



Kalendarz myśliwski.





Październik. Właściwe polowanie na kuropatwy zbliża się ku końcowi; kury, zupełnie już wypierzone, nie dotrzymują, a przytem gołe po większej części pola utrudniają spotkania z kuropatwami. Ktoby jednak chciał na nie polować, a ma potemu odpowiedni teren, jak np. kultury, do pola przylegające, lub obszerniejsze remizy, może na nie urządzać naganki. Jeżeli kto chce przezimować kuropatwy, to czas je chwytać; najlepiej nadetatowe koguty tylko zimować lub zabić, a parki w najlepszych, zaopatrzonych w paszę rewirach, puścić na wolność. Teraz pora odstrzeliwania bażantów, a w rewirach leśnych — zajęcy. Przez cały październik poluje się w krzakach z wyżłem i w podszytych laskach — na słonki, które w tym czasie najlepsze, bo ciężkie i oblane. Dla jeleni kapitalnych i rosłych minął już czas ryku. Co do danieli, to od połowy miesiąca poleca się odstrzeliwać tylko śpiczaki i gorsze cielęta, oraz nadetatowe lub stare łanie. Dla jeleni i sarn odnawia się lizawki. Trwa jeszcze polowanie na borsuka i w tym i w przyszłym miesiącu. W zwierzyńcach z końcem miesiąca pólka, żytem obsiane, można otworzyć dla zwierzyny. Żołędzie, buczynę i kasztany zbiera się teraz i przechowuje w przewiewnem miejscu i raz poraz szuflą je przewracając. Na polowanie z ogarami najlepsza teraz pora.

W październiku wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerjalny (dla b. Kongresówki), dekret Wydziału obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego), lub Władzy powiatowej (dla Małopolski):

W b. Kongresówce. na łosie (byki), na jelenie (byki), na daniele (byki), na rogacze, na zające, na cietrzewie (koguty, kury i młode), na jarząbki (koguty i kury), na bażanty (koguty, a na kury tylko w tych miejscowościach, gdzie są urządzone i prowadzone bażantarnie), na kuropatwy, na przepiórki, na słonki, na dzikie kaczki (kaczory i kaczki), na dzikie gęsi, na łabędzie, na żórawie, na siewki, na kszyki, na bekasiki, na derkacze, na bataljony, na kuligi, na dzikie gołębie i na drozdy (kwiczoły i paszkoty).

W b. Zaborze Pruskim: na jelenie (byki), na łanie i na cielęta jelenia (od 16 października), na daniele (byki), na danielice i na cielęta daniela (od 16-go październik ka), na borsuki, na zające, na cietrzewie, na jarząbki, na bażanty, na kuropatwy, na przepiórki, na pardwy szkockie, na dzikie kaczki, na bekasy, na dropie, na łabędzie, na żórawie, na kuligi, na derkacze oraz na wszelkie inne ptactwo błotne i wodne, a więc i na dzikie gęsi.

W Małopolsce: na kozły, na jelenie (byki), na zające, jarząbki, na cietrzewie (koguty), na głuszce (koguty), na kuropatwy, na bażanty (koguty i kury), na przepiórki, na dzikie gołębie, na dropie,

na strepety, na kszyki, na kulony, na bataljony, na dzikie gęsi na dzikie kaczki.

Uwaga. Przepis ten nie stosuje się do polowań urządzanych w zamkniętych zwierzyńcach.

Na Kresach: (według Ustawy „Zakon ob ochotie 3 fewrala 1892 goda): na łosie (byki), na jelenie (byki), na rogacze, na głuszce (koguty i kury), na cietrzewie (koguty i kury), na słonki, na dzikie gęsi i łabędzie, na dzikie kaczki, na bekasy, na bekasiki, na kuligi, na czajki, na derkacze i na wszelkie inne wodne i błotne ptactwo, na kuropatwy, na bażanty, na zające, na dropie, na strepety i na przepiórki oraz na wszelkie drapieżniki.

Uwaga. Do drapieżników zalicza się: niedźwiedź, wilk, lis, szakal, borsuk, piesiec, tchórz, łasica, wydra, norka, gronostaj, kuna, rosomak, ryś, żbik i wiewiórka. Do ptaków drapieżnych: orzeł, bielik, sokół, raróg, wszystkie jastrzębie, sroka, kruk, wrona, kawka, sójka, orzechówka, srokosz, puhacz, sowy i wróble.

Łowieckie wiadomości bieżące.

Skarga myśliwych.

„Iskra" sosnowiecka w Nr. 213 pisze: Dzierżawcy terenów myśliwskich w Mrzygłodzie, Mrzygłódku i Benduszu skarżą się, że w czasie manewrów niektórzy z oficerów polowali na ich gruntach na ptactwo i zające. Trzeba zaznaczyć, że polowanie na zające jest prawnie wzbronione w czasie od 1 lutego do 30 września.

Proces o zabójstwo na polowaniu.

Marcin Różycki, lat 36, stanął przed sądem okręgowym w Łodzi oskarżony o nieostrożne obchodzenie się z bronią, skutkiem czego nastąpiła śmierć Jana Wygałkiewicza, którego kula trafiła w serce. Na prowincji do polowania są jeszcze dziś używane dubeltówki starego systemu t. zw. pompówki, które za pomocą kapiszonów przedostają się do lufy i nabój eksploduje wewnątrz, wyrzucając ołowianą kulę do celu. Marcin Różycki w dniu 16 maja we wsi Krasnodęby udał się na polowanie, zabierając z sobą Jana Wygałkiewicza, który znał dobrze okolice i miał pokazywać legowisko zajęcy. Wygałkiewicz szedł przodem i wnet wskazał Rówodami prokuratora Stachowskiego i dowodzi, że i zabił.

Następny strzał z lewej lufy oddany był do kuropatwy, jednak nabój nie wystrzelił, a Różycki mniemając, iż nabój jest zepsuty, nie odwiódł kurka, lecz poszedł dalej.

W pół minuty później dubeltówka sama wystrzeliła, trafiając Wygałkiewicza w lewą łopatkę i przebiwszy go na wylot, uderzyła w serce, skutkiem czego nastąpiła momentalna śmierć.

Różycki na sądzie przyznał się do winy i ze skruchą wyjaśnił, że nie chciał przyjaciela zabijać, a cały wypadek należy brać jako nieszczęśliwą okoliczność.

Obrońca, adwokat Biłyk nie zgadza się z wyżyckiemu ptaka, do którego Różycki zmierzył się tylko przypadek mógł spowodować nieszczęście, gdyż Różycki nie wiedział, że kurek jest na kapiszonie.

Sędzia Korwin-Korotkiewicz skazał Różyckiego na trzy miesiące więzienia z zawieszeniem wykonania kary na przeciąg lat 5.

OD POSTAW DO WOROPAJEWA.

O tem „pustkowiu" na Kresach, pisze p. St. Dzikowski w „Warszawiance" między innemi:

Ludność, która tu mieszka, może śmiało wytrzymać porównanie z najdzikszemi plemionami afrykańskiemi. Połów ryb, kłusownictwo i leśne zbiory zaspokajają potrzeby najprymitywniejsze. Drogi zazwyczaj okropne, na wiosnę i na jesień nie do przebycia. Czasem zajadły myśliwy, którego nie przeraża niespodziewana kąpiel albo wędrówka po kołyszącym się „kożuchu", znajdzie tu raj prawdziwy, zwłaszcza w okresie letnich i jesiennych polowań. Nieprzejrzane stada kaczek lęgną się w szuwarach jezior i rzek, kszyki, bekasy i dubelty porywają się na mokrych łąkach, cietrzewie i głuszce wśród błotnistych zarośli, czyli na t. zw. „rojstach", pardwy, ta zwierzyna gdzieindziej zupełnie nieznana na mszarach. Jest to polowanie zupełnie odrębne, nieznane myśliwym przyzwyczajonym do komfortu i wygody, polowanie, wymagające wielkiego zamiłowania, kunsztu łowieckiego i niespożytych sił fizycznych. Kiedyś te pustkowie nie były zupełnie pustkowiami. Niejednokrotnie należały do wielkich magnackich fortun. W głębi lasów spotykało się siedziby wspaniałe, pałace i dwory. Ale wojna zadała im cios straszliwy, odejmując największe bogactwo — bogactwo leśne.

Trzy lata polowań w Afryce.

Zwierzyna na ekranie.

W Warszawie kina dają coraz częściej obrazy myśliwskie, cieszące się ogromną frekwencją widzów. Należałoby tylko ze względów pedagogicznych i naukowych pilniej baczyć na napisy, żeby ściśle odpowiadały poszczególnym obrazom.

Wyświetlony w kinie „Światowid" obraz p. t. „3 lata polowań w Afryce" niewątpliwie zaliczyć należy do istnych cudów ekranu. Na obrazie tym ujrzeć bowiem możemy tajemnice Czarnego Lądu, wydarte zazdrosnej przyrodzie przez odważnego podróżnika-operatora. Mamy przed oczami lwy, lamparty, słonie, hipopotamy, nosorożce i wszelką zwierzynę dziką zamieszkującą dżungle, a obok stada antylop, żyraf, zebr, oraz okazy ptactwa różnorodne ze wspaniałym strusiem na czele, a wszystko to w warunkach naturalnego ich bytowania w chwili, gdy nie podejrzewają nawet obecności człowieka, lub gdy są podpatrzone z prześcigającego najszybszą gazelę, samochodu.

Są to wyniki ekspedycji H. A. Snowa, zorganizowanej w roku 1921 w Kalifornji. Ekspedycja przebyła w Afryce 65.000 mil angielskich i zużyła 125.000 stóp negatywu. Ekspedycja ta wróciła do San Francisco w 1924 r., a więc po trzech latach. Że podróż ta nie była wygodną wycieczką, że bardzo często członkowie wyprawy zaglądać musieli w oczy śmierci, o tem łatwo się przekonać można z oglądanych obrazków.

Ale nie same tylko niebezpieczeństwa pociągać winny widza, lecz właśnie to życie fauny afrykańskiej, niezmiernie ciekawe i pouczające.

Snow sam napisał o tem takie uwagi:

„O wiele łatwiej jest zabić dzikie zwierzęta, niż je fotografować. Wiele z tych zwierząt, które zabiliśmy, były strzelane z odległości ponad 550 st., tymczasem, aby „złapać" objektywem aparatu dobre zdjęcie, należało zbliżyć się do dzikich zwierząt najdalej na 30 stóp i to już trzeba było używać specjalnych szkieł. Co więcej, tylko nieliczne zwierzęta, wliczając w nie i słonia afrykańskiego, porzucają swe legowiska i kryjówki we dnie: pozostałe, od lwa i lamparta począwszy, a na hipopotamie skończywszy, ukazują się ludzkiemu oku tylko w nocy. Do zwierząt, które można było fotografować w dzień, jeśli, oczywiście, udało się do nich dosta-

tecznie zbliżyć, należą żyrafy i niezliczone odmiany gazeli, które dla większego bezpieczeństwa żyją stadami. Tutaj ford oddał nam nieocenione usługi. Ścigaliśmy stada tych zwierząt samochodem po dniach całych, aż do zupełnego ich zmęczenia. Wtedy udawało się nam zbliżyć do nich na tak małą odległość, aby je móc filmować. Zauważyliśmy przy sposobności, jak mała wytrzymałość posiadają dzikie zwierzęta".

W tem miejscu syn H. A. Snowa dodał, że ścigane słonie, przebiegłszy skroczem kilkaset metrów, ustają, nie mogąc uciekać dalej.

„Największą dla nas trudnością", dodaje H. A. Snow, było zbliżenie się do stada żyraf. Zdaleka już widzieliśmy ich głowy wzniesione ponad korony drzew, ale pierzchały one, mając doskonały wzrok, daleko wcześniej, zanim zdążyliśmy ustawić aparat do zdjęć. Dopiero po trzech przeszło miesiącach ścigania ich, gdy żyrafy nie płoszyły się już tak bardzo naszym widokiem i dostatecznie zmęczyły, udało nam się zrobić zadawalające nas zdjęcia. Miejscem bardzo poszukiwanem przez spragnione dzikie zwierzęta pustyń jest oaza: tam też u źródeł, udało się nam sfilmować i inne zwierzęta, których nie mogliśmy dosięgnąć w stepach. Prawie wszystkie te zwierzęta zaspakajają swe pragnienie w nocy: naszem zadaniem było zmusić je do odwiedzania oazy we dnie. Osiągnęliśmy to, stawiając straż koło źródeł podczas licznych nocy: odpędzane w nocy od źródeł, wyczerpane pragnieniem, zwierzęta były zmuszone zaspakajać pragnienie we dnie, co nam pozwoliło je zdjąć. Wyczekiwaliśmy ich całemi godzinami, stojąc nieruchomo i bez najmniejszego szelestu, prażeni przez rozpalone słońce, wydani na pastwę niezliczonych owadów, które są plagą tych okolic. Nie zważając na to, w ogniowej próbie wytrzymałości, myśleliśmy tylko o tym, aby kinematografy dostarczyć filmu niezwykłego i jedynego niedościgłego w swoim rodzaju. Jesteśmy wpełni zadowoleni z uzyskanych przez nas rezultatów. Zawierają one tyle interesujących rzeczy i tak doskonale zostały zmontowane i ułożone przez wydawców, że doprawdy zdawaćby się mogło, iż było to filmowane podług zgóry przyjętego scenarjusza".

Snow przywiózł niezmiernie ciekawe okazy dzikich zwierząt, które podarował muzeum swego kraju rodzinnego w Oakland, w Kalifornji.

OTWARCIE POLOWANIA WE FRANCJI.

Szereg pism polskich, jako to: „Gazeta Warszawska", „Unia", „Gazeta Poranna", poświęcił dłuższe lub krótsze opisy, z których podajemy niektóre szczegóły:

Zjawienie się w jesieni na rynkach francuskich pierwszych sztuk zwierzyny obchodzone jest co roku bardzo uroczyście. Przy dźwiękach fanfary odbywa się licytacja zwierzyny, a na drugi dzień wszystkie gazety donoszą, za jaką cenę i która z pośród najbogatszych restauracji nabyła pierwszego zająca, czy pierwszą parę kuropatw.

W latach ostatnich, na bruku paryskim słyszy się wciąż ubolewania nad zupełnym zanikiem zwierzyny i wogóle nad upadkiem myślistwa.

W tym roku „Figaro" rozesłało ankietę do wybitnych myśliwych, prosząc o wypowiedzenie się w tej kwestji. Odpowiedź brzmiała prawie jednomyślnie:

XX wiek nie sprzyja rozwojowi myślistwa i nie zachowuje nawet tradycji dawnych polowań we Francji! Minęły te złote czasy, gdy znakomici myśliwi podczas jednego polowania zabijali po kilkadziesiąt sztuk ptactwa. Ostatnie łowy, które zapisały się na długo w pamięci uczestników, odbyły się za czasów Poincare'go, gdy w 1913 roku zjechał do Francji król hiszpański Alfons XIII, znakomity myśliwy. Zabił on własnoręcznie 400 sztuk kuropatw. Potem wybuchła wojna, o polowaniach nikt nie myślał. Dziś z powodu parcelacji wielkich majątków, upadku majoratów, wielkie polowania, a nawet te, które odbywają się tradycyjnie co rok w lasach Rambouillet, letniej rezydencji prezydenta, straciły zupełnie dawny charakter. Nie widzi się już korowodów łowców, przebranych w barwne, piękne stroje, którzy przy dźwiękach specjalnych rogów, z setkami psów wyruszali z rezydencji magnatów na łowy. Zanikają już bezpowrotnie wszystkie stare przepisy, całe decorum łowów, wprowadzone jeszcze za czasów Napoleona.

Dzisiejszy prezydent — sam nie poluje i wcale nie interesuje się polowaniem. Asystując jednak podczas urzędowych polowań, w otoczeniu ciała dyplomatycznego, posłów i senatorów, nadaje łowom charakter nieoficjalnych zebrań parlamentarnych i dyplomatycznych.

Opis obchodu w halach centralnych, zwanych „ventre de Paris", jest następujący:

Sześciu dojeżdżaczy w czerwonych frakach pobudką myśliwską graną na trąbach, obwieściło orbi et urbi, jako, że pierwszy dowóz zwierzyny, kuropatw, zajęcy i przepiórek, wstąpił w obręb pawilonów targowych. Cały regiment kuchmistrzów, wielkich hoteli, restauracji, oraz prywatnych smakoszy zgromadził się wokoło stosów dziczyzny już ubitej, a jednak trudnej do zdobycia z powodu cen wygórowanych.

Król targu, pan Rousseau, dał znak i licytacja się rozpoczęła: 6 kuropatw za 200 franków, trzy zające za trzysta franków unieśli z tryumfem pierwsi nabywcy, wyznawcy Brillat-Savarain'a, kucharza filozofa. Odgłos trąb rozszedł się po dzielnicy mile witany przez paryskich Nemrodów, wielce zapalonych do najstarszego ze sportów.

Jest to chwila wyjazdów do ziemskich posiadłości i tu zaczyna się tak zwane „Vie de chateau" w zamkach wielkopańskich, pełnych szacownych pamiątek, gdzie wśród licznie sproszonych gości odbywają się świetne polowania, wycieczki konne i pikniki po leśnych obszarach, bogactwie Francji. Lasy Fontainebleau, Rembouillet, napełnią się odgłosem muzyki myśliwskiej, a nieraz przed okiem zdumionego turysty przeleci konna kawalkada strzelców i amazonek w strojach malowniczych, z psów zgrają, niby widzenie wprost zdjęte z obrazów Troyon'a tak, że przez moment zdajesz się być przeniesionym w epokę świetności i zabaw drugiego cesarstwa...

Rozpoczęta tak solennie wyprzedaż doprowadziła szybko do cen, które odstraszyły od zajęcy i kuropatw oszczędne gospodynie francuskie, a pozostawiły jedynie na placu boju intendentów wielkich restauracyj, którym cudzoziemcy i tak zapłacą wszystko.

Zawody strzeleckie.

O przygotowawczych zawodach strzeleckich w Piotrkowie, o których daliśmy już krótką wzmiankę, dochodzą jeszcze szczegóły następujące:

Strzelanie na 200 mtr., 10 strzałów do tarczy 10 pierścieniowej wzoru międzynarodowego z pozycji leżącej, o mistrzostwo Łodzi i Piotrkowa. Zdobyli ze stowarzyszeń przysposobienia wojskowego, pierwsze miejsce Szymański (hufiec szkolny Radomsko) drugie miejsce Binek (Związek Strzelecki Częstochowa), trzecie miejsce Lamecki (Związek Strzelecki, Tomaszów Mazowiecki), czas strzelania 5 minut każdy.

Strzelanie na 300 mtr., w podobnych okolicz-

nościach. 30 strzałów z trzech pozycyi leżącej, klęczącej i stojącej o mistrzostwo Województwa Łódzkiego zdobyli: Lamecki, (Związek Strzelecki, Tomaszów Mazowiecki), poseł Fijałkowski (Związek Strzelecki, Piotrków), komendant okr. łódzkiego Związku Strzeleckiego Piątkowski.

Dotychczas z pośród konkurencji wojskowych wybili się na czołowe miejsca kap. Kościewicz, por Niedźwiedź, sierż. Pawłowski, Kuzenko i strzelec Szymczyszyn z 31 p. Strzelców Kaniowskich; podp. Wecki i kap. Popek z 10 p. piechoty.

Na popisowem strzelaniu staraniem członków Małop. T. Ł. w Zawadowie koło Stryja wyniki były następujące: I. z pistoletów na 25 kroków. 1 nagrodę Eustachy Barański. II. strzelanie na 100 kroków z wolnej ręki 1 nagrodę por. Marjan Borzemski 260 p., 2 nagrodę Aleksander Ostrowski 217 p., 3 nagrodę Andrzej Onyszkiewicz 195 p. III. przez lunetę do rogacza na 200 mtr.: 1 nagrodę Władysław Polański, 2 nagrodę Eustachy Barański, 3 nagrodę por. Marjan Borzemski. IV. strzelanie pań z małokalibrowych sztucerów na 25 kroków: 1 nagrodę p. Orska, 2 nagrodę p. Bednarska. V. strzelanie do tarczy ruchomej — dzik na 100 kroków: 1 nagroda Eustachy Barański 24 p., 2 nagroda Tadeusz Koronacki 22 p., 3 nagroda Andrzej Jakubowicz 19 p. VI. strzelanie do dzika w dublecie: 1 nagrodę Eustachy Barański 43 p., 2 nagrodę Tadeusz Barański 31 p., 3 nagrodę Władysław Polański 29 p. VII. strzelanie do lisa na 100 kroków: 1 nagrodę Jan Onyszkiewicz 17 p., 2 nagrodę Tadeusz Barański 17 p., 3 nagrodę Andrzej Jakubowicz 15 p., 4 nagrodę Andrzej Onyszkiewicz 14 p. VIII. strzelanie do rzutów: 1 nagrodę Tadeusz Barański 8 krążków na 10 po rozstrzeliwaniu się z Eustachym Barańskim, który 2 miejsce zajął. Nagrodę stryjskiej kniei zdobył por Borzemski.

W Sarnowie w Wielkopolsce pierwszy raz po spolszczeniu Bractwa, urządziła miejscowa „Brać Strzel." w skromnych rozmiarach strzelanie o godność „króla żniwnego". Po kilkugodzinnem ubieganiu się (niestety tylko niezbyt pokaźnej liczby członków) o nowo zaprowadzoną godność wyszli zwycięsko bracia: Mielcarek (król), burmistrz Skowroński (marszałek) i Porządny (rycerz). Siedmiu najlepszym strzelcom do tarczy premjowej ofiarowano medale pamiątkowe, wybite przez Związek Inwalidów ku uczczeniu rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego.

Z bibljografji łowieckiej.

„Łowiec" (lwowski). W Nr. 9 znajdują się następujące prace: „Na ołtarz św. Huberta!" — Seweryn Krogulski. „Pół wieku!" — Stanisław Barabasz. „Kłusownicy i zwierzyna w Tatrach". — „Dobry sen" W. Z. — Mistrz - Rotmistrz. „Kronika stara, podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało..." — Władysław Czerniejewski. „Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach" — „Polowanie w Z." — „Tarnobrzeg — Dzików". Józef Stary. — „Staromieście" Jan Jędrzejowicz. — „Szlachta drobna na Polesiu". — „Oddział Kinologiczny" Śląskiego Tow. Łowieckiego i Rybackiego w Cieszynie". — „Strzelińskie „Kółko kinologiczne" w Strzelnie". — „Z wydawnictw" — „Komunikat". — „Kącik humorystyczny".

„Przegl. Myśl. i Łow. Polskie". W Nr. 17 znajdują się następujące prace poza pomniejszemi wiadomościami.

„Towarzystwo Łowieckie Województwa Krakowskiego w Krakowie". Morawetz. — „Z oddziału łowieckiego na pierwszej pomorskiej wystawie rolnictwa i przemysłu w Grudziądzu". Leon Pęski. — „Nowe horyzonty myśli łowieckiej". Julian Eismond. — „Sokół wędrowny" Władysław Gürtler. — „Hodowla kun na futerka". M. Trybulski. — „Teraz i dawniej" J. Krawczyński. — „Myśliwsko-wędkarskich wspomnień parę". J. R. — „Mój pierwszy dubelt" Adam hr. Rzewuski. — „Wyprawa myśliwska do Abisynji" Bronisław Gordziałkowski. — „Biały" Stanisław Bończa. — „Staropolski pomnik literatury rybackiej". J. E. — „Doraźne kary za kłusowników". J. Żarnowski. — „Kącik rozrywek" — „Narodowe zawody strzeleckie 6, 7, 8 września 1925 r.".

„Przegląd Myśl. i Łow. Polskie". W nr. 18 znajdują się następujące prace poza pomniejszemi wiadomościami: „Łowiectwo w „Kronice Gallusa" Julian Ejsmond. — „Przed polowaniem na kuropatwy". J. Żarnowski. — „Z wycieczki do Krośniewic" Antoni Łączkowski. — „Ramoty i ramotki myśliwskie" Wł. Janta — Połczyński. — „O tegorocznym stanie ptactwa błotnego i wodnego". Stefan Ostrowski. — „Na marginesie karty myśliwskiej" Leon Ossowski. — „Sokół wędrowny" Władysław Gürtler. — „Szlaki przelotu słonek i zachowanie się ich podczas pobytu w Dzikich Polach". Adam hr. Rzewuski. — „Biały" Stanisław Bończa. — „Popisowe strzelanie" Dr. W. B.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

W. Panu Suchowieckiemu. Smarowanie luf tłuszczem jest zalecane zarówno w broniach gładkich, jak i gwintowanych. Słyszy się nieraz, że pierwszy strzał, z gładkich luf otłuszczonych, śrutem — jest słabszy, ale temu nie trzeba nadawać znaczenia. Otłuszczanie luf gwintowanych jest bardzo zalecane. Nawet do gładkich luf, kule smaruje się łojem. Przecieranie luf gwintowanych przed strzałem, nie jest wskazane, zaś po strzelaniu oczyszczenie i wysmarowanie luf tłuszczem, jest konieczne.

Drobiazgi myśliwskie.

Tępienie pawianów. W „Gaz. Por." czytamy: W afrykańskiej kolonji Kenia podjęto energiczną walkę z pawjanami, rząd zaś ustanowił wysoką nagrodę za każdego pawjana zastrzelonego, otrutego, czy też żywcem złapanego. Okazało się bowiem, że pawjany będąc okrutnymi rabusiami i złodziejami, stały się istną plagą całej okolicy. Od kilku lat ofiarą niezłapanych rabusiów, padały owce i krowy, które znajdywano rozszarpane, a przy wielkich stadach liczba ofiar dochodziła niekiedy do paruset sztuk dziennie. Rany zwierząt wyglądały jakby zadane bardzo ostrym nożem. Biali ludzie podejrzewali czarnych, gdy się jednak przekonano, że trzody jednych i drugich również są dziesiątkowane, podejrzenie zwróciło się na lwy, pantery, mające ostre zęby. Po długim czasie dopiero przekonano się, że niszczycielami są pawjany, które przytem postępowały niesłychanie chytrze. Najpierw wysyłały rekonesans z kilku młodszych małp, które wyciem odwracały uwagę w jedną stronę, podczas gdy stare w innej stronie robiły spustoszenia. W trzodzie pawiany rozdzierają owce i krowy ostremi paznogciami, literalnie w kawały. Pasterze bardzo się ich obawiają, wiedząc, że gdy są głodne, przychodzą gromadami nawet do wsi i wykradają bydło ze stajni. Krajowcy ofiarowują wówczas bogom zboże i piwo, aby odwrócić nieszczęście. Oczywiście, że strzelba i trucizna będą o wiele skuteczniejsze.

Haremy fok. W ostatnich czasach uczeni angielscy i amerykańscy przeprowadzili gruntowne bada-

nia życia fok na morzu Beringa. Z obserwacji tych zasługuje na uwagę poligamiczny sposób życia fok. Można było stale zauważyć — pisze Townshend, że samce utrzymują formalny harem, liczący przeciętnie 30 samic, w którym często przychodziło do zaciętych utarczek miłosnych. Bójki i sceny zazdrości były w haremach fokowych na porządku dziennym. Niekiedy dochodziło nawet do tego, że rozjuszone samce rozrywały dosłownie w kawałki swoje „odaliski", a młode poprostu miażdżyły. Wprawdzie polowania na foki dla uzyskania ich pięknego futra zmniejszyły w ciągu lat ostatnich o połowę liczbę tych zwierząt, mimo to walki o samice są staczane nadal, jakkolwiek znacznie rzadziej, niż dawniej. Również bardzo ciekawem jest zjawisko, że młode samce - foki chcą stwarzać sobie haremy, nie czynią tego jednak nigdy w miejscach, gdzie zagnieździły się starsze samce, lecz trzymają się od nich zdala. Wedle obliczeń, dokonanych przez Towarzystwo łowieckie amerykańskie w ostatnich czasach, ogólna liczba fok na wyspach Prybyłowa wynosi przypuszczalnie 200.000 sztuk.

Przywiązanie psa.

O wzruszającym przykładzie przywiązania psa do swego pana opowiadają dzienniki angielskie. Przed sześciu laty zmarł w miejscowości Worthly, w hrabstwie Streifieldu, mieszkaniec tamtejszy, posiadający ładnego, czarnego psa. Pies ten ruszył za zwłokami swego pana na cmentarz, a gdy zwłoki pochowano, zasiadł na mogile, wyjąc żałośnie. W ciągu jeszcze kilku dni następnych słyszano to wycie, poczem pies uspokoił się, ale nie opuścił mogiły, wszelkie zaś usiłowania odciągnięcia go z niej spełzły na niczem. I dotychczas, już od lat sześciu wierna psina nie opuszcza mogiły swego pana. Dopiero, gdy go głód bardzo przyciśnie, oddala się od niej dla spożycia strawy, którą pozostawiają mu w pobliżu litościwi ludzie. Próbowano też ściągnąć go podczas zimowej niepogody do przedsionka kaplicy przedpogrzebowej, gdzie urządzono mu posłanie. Ale nie powiodła się i ta próba. W najgorszą niepogodę wierny pies strzeże grobu pana i szczerzy zęby na każdego człowieka, który chce go ująć.

Białe niedźwiedzie.

Z Nome, w Alasce donoszą o przygodach skunera „Maud", który powrócił z trzyletniej wyprawy do okolic podbiegunowych.

Gdy „Maud" stała zamarznięta śród pól lodowych, niedźwiedzie białe podchodziły do niej tak licznie, że czasami trzeba było walczyć z niemi zblizka, aby nie wdarły się na pokład okrętu. Dwadzieścia dwa niedźwiedzie zabito wystrzałami z pokładu „Maud". Zabrane przez wyprawę psy eskimoskie bały się bardzo niedźwiedzi i wyły rozpaczliwie, gdy nieproszeni goście zbliżali się do okrętu.

Futra modne. Największych ofiar żąda moda od rodu lisiego; nietylko niebieskie, czarne, białe, ale i zwykłe rude lisy uznała bowiem za godne zdobić kobiety. Wąskie plisy lisiego futra — to najszykowniejsze przybranie zimowej sukienki i kostiumu. Plisy te rzadko kiedy bywają jednej barwy; najmodniejsze są żółto-czarno-popielate. Kwadraty karakułów — również w dwóch kolorach — zdobią płaszcze spacerowe; inkrustacje z gronostai i szynszli - okrycia wieczorowe. Nawet skromne petites robes, nawet szlafroczek, liseuse i pyjama nie będą wolne od futra. Królik i pantery tworzą obłamowania tunik, oszycia szwi, mankiety.

Redaktor: Jan Sztolcman. Wydawca: Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Drukarnia Nakładowa, Warszawa, Hortensja nr. 7, tel. 216 - 60 i 50 - 96